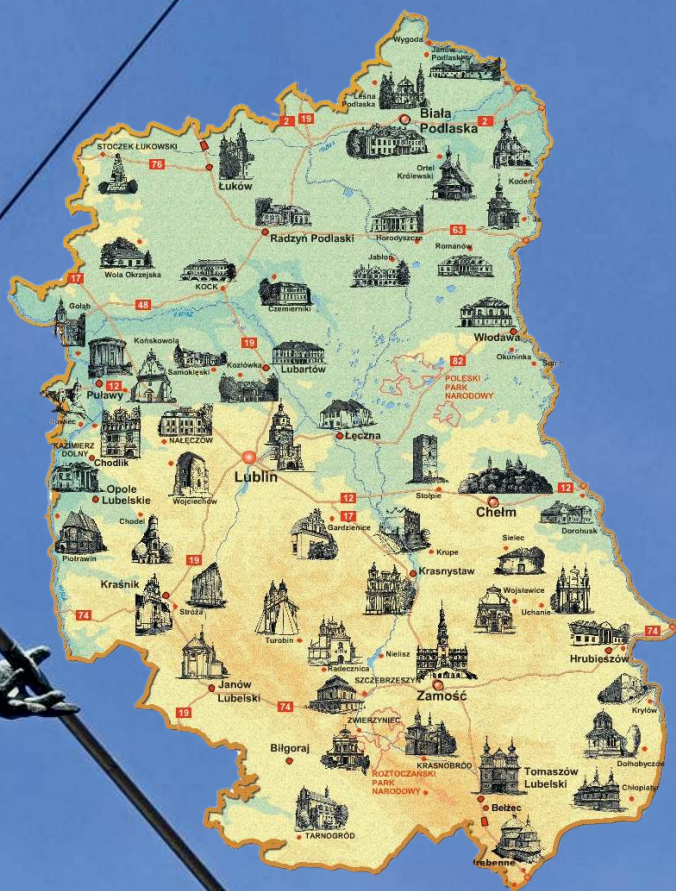
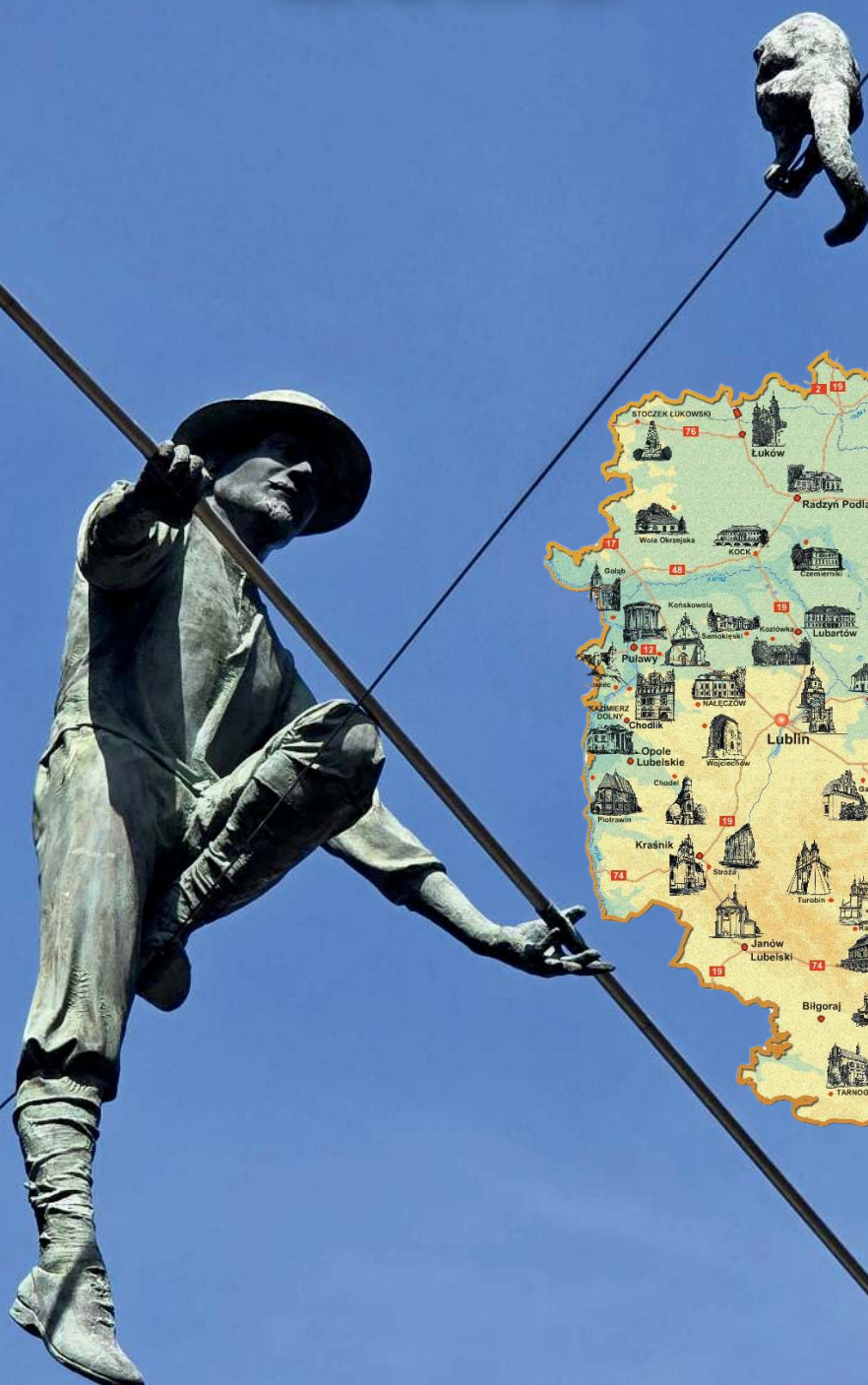
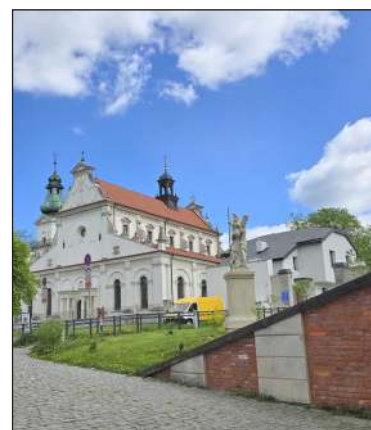


Ferzy Szukalski

WIOSENNA LUBELSZCZYNA 2025



LUBELSZCZYZNA W OBIEKTYWIE



TYTUŁEM WSTĘPU

Po długich wewnętrznych przekomarzeniach, uzasadnionych częściowo dość dużą porcją rozmaitych obowiązków, postanowiłem zasiąść do spisywania choćby niektórych wrażeń, jakie były moim, a może powinienem napisać naszym, udziałem w czasie wyprawy na Lubelszczyznę. Wycieczka ta zorganizowana była przez kaliski Oddział PTTK, a konkretniej przez działającą w jego strukturach Regionalną Pracownię Krajoznawczą, Koło Przewodników im. Adama Chodyńskiego. W jego imieniu opiekę nad 39 osobową grupą globtroterów objęli; Małgorzata Walczak-Kubiak oraz Mariusz Ługowski, którym tak trochę z drugiego planu, ale dzielnie, sekundował Paweł Dybka.

Dla nas, czyli dla czwórki osieroconych organizacyjnie członków Towarzystwa Miłośników Soku Malinowego, była to wyprawa eksperymentalna w takim właśnie otoczeniu. Informacja o jej organizacji dotarła do nas przez Maćka „kurła” Jakubczaka, który wielokrotnie uczestniczył w wyprawach zwanych powszechnie petetekowskimi. Pragnienie wyjazdu właśnie w te okolice, artykułowaliśmy już od dawna, ale najpierw pandemia, a później dość napięta sytuacja na naszej wschodniej granicy powodowały, że z roku na rok Lubelszczyzna odchodziła jako plan na kolejny dłuższy wyjazd.

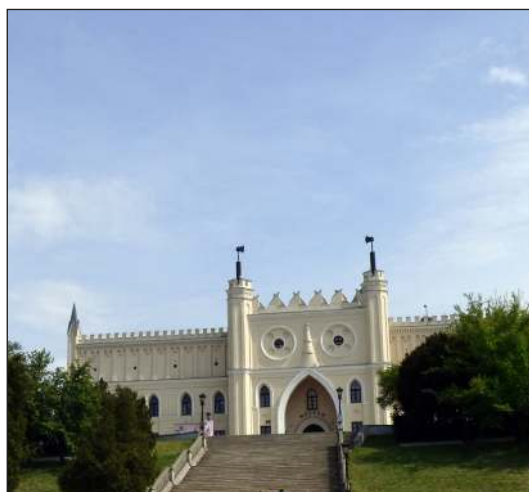
Sytuacja taka trwała do początku tego roku, gdy nasza Natałka jednoznacznie ogłosiła odstąpienie od organizowania dla nas kolejnych wyjazdów majówkowych. Uzasadnienie było jak najbardziej zasadne. Sami dostrzegaliśmy, że stały skład naszego wesołego corocznego autokaru, jakoś tak pomaleńku, prawie niezauważenie, ale wykrusza się nam nieodwołanie, a my sami też przecież nie jesteśmy z każdym rokiem młodszy. Smutna to konstatacja, a puste fotele, które do niedawna zajmowane były przez naszych majówkowych znajomych, przyprawiały o melancholijne przemyślenia dotyczące naszego przemijania.

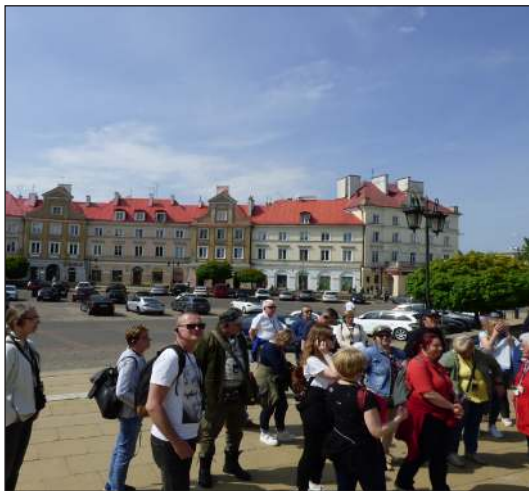
Ponieważ jednak skrzyknęliśmy się w ośmioro, a ostatnio już niestety w szóstkę, wokół „wściekłych psów”, postanowiliśmy za wszelką cenę ratować tradycję. Ceną było podjęcie ryzyka związanego w czterodniową wyprawą w zupełnie nieznanym nam anturazju towarzyskim. Zachętą był program, termin i cena. Przy czym ta ostatnia, wynosząca 1000, - od osoby stanowiła zarówno zachętę jak i pewien czynnik ryzyka. Znając realnie współcześnie obowiązujące ceny, obawialiśmy się jakiś bardzo siermiężnych warunków pobytowych, co przy naszym wieku i co by się nie rzekło, pewnym przyzwyczajeniu do minimalnego choćby luksusu, powodowało dość sporą nieufność.

Na szczęście w finale tej opowieści nastąpi rozwianie tego typu wątpliwości, ale nie będę uprzedzał faktów i na pewno nie powiem „kto zabił?” My, trzymając się malinowej czwórki, wyruszamy na czterodniową wyprawę, pełni obaw, ale jednocześnie bardzo pozytywnie nastawieni, bo tego typu wycieczki stanowią dla nas rodzaj, jakże przyjemnego, nałogu.

DZIEŃ PIERWSZY Czwartek, 24 kwietnia 2025

Zbiórka zadysponowana została na godzinę 6.00, przed kaliskim Teatrem im. Wojciecha Bogusławskiego. Gdy dotarliśmy na miejsce, nawet kilka minut wcześniej z uznaniem zauważyliśmy, że autokar już czeka, a nasi przewodnicy raźnie wykonują swoje obowiązki w zakresie sprawdzenia obecności, nadzorem nad załadunkiem bagażu, a następnie pozwalając nam zająć wygodnie miejsca





w autokarze. Z satysfakcją dostrzegamy, że autokar jest nawet ponadwymiarowy w zakresie miejsc siedzących, dzięki czemu część grupy będzie miała możliwość samotnego siedzenia na dwóch fotelach.

Sama podróż przebiegła dość sprawnie, urozmaicona ciekawymi opowiadaniem naszych opiekunów oraz sensownym postojem w Radomiu. Mieście, którego powierzchnia większa jest od tej zajmowanej przez Paryż. Nasi opowiadacze toczyli swoje opowieści wokół zakładów Łucznika, skąd nie tylko maszyny do szycia, czy pisania pochodziły, ale przede wszystkim przez długie lata była wytwarzana tu broń każdego żołnierza Układu Warszawskiego, a obecnie 95% terrorystów na całym świecie, czyli kałasznikowy wzór AK-47. Pomyśleć tylko, iż w czasie mojej zasadniczej służby wojskowej miałem najlepszy czas w jednostce, w jego rozbieraniu i składaniu z zamkniętymi oczyma. Cieszę się jednak bardzo, że obecnie podobne mistrzostwa dotyczą jedynie kostek Rubika i oby tak właśnie pozostało na wieki. Wątek poronionego pomysłu z portem lotniczym Warszawa – Radom, z którego głównym atutem miało być, że bliżej stąd do Afryki, pominięty został wymownym milczeniem.

Docieramy do Lublina i dzięki naprawdę wielkiemu fartowi, znajdujemy po chwili kluczenia, wygodne miejsce do zaparkowania naszego autokaru, a my sami udajemy się na spotkanie z oczekującą już naszego przyjazdu przewodniczką, która przez cały czas naszego pobytu na Lubelszczyźnie służyć będzie jako niewyczerpana krynica wiedzy o odwiedzanych miejscach i mijanych zabytkach. Po sposobie witania się z co najmniej połową grupy wnioskuję, że nie jest to pierwszy kontakt kalisko-lubelski, co tym razem owocuje naprawdę dobrą atmosferą dzisiejszego spotkania. Pani Irenka uzbraja nas wszystkich w bardzo wygodne i praktyczne urządzenia jakim są tour guide, dzięki którym wszyscy mamy równe szanse w słyszeniu całego mnóstwa informacji udzielanych nam przez przewodniczkę.

My zatrzymaliśmy się przy obowiązkowej wizytówce polskiego miasta, podobnie jak Rzym, rozmieszczonego na siedmiu wzgórzach, czyli na placu Unii Lubelskiej, rozciągającym się wokół górującego nad okolicą Zamku. Dla mnie jedna rzecz jest w tym miejscu z zupełnie innego wymiaru skojarzeń. Otóż plac rozciągający się na tym wzgórzu, wokół dumnie spoglądającego lwa, symbolu Lwowa, nazwany jest imieniem Jurka Bitschana. Łza mi się w oku kreci, gdyż piosenkę o tym czternastoletnim chłopcu, Orleńcu Lwowskim, uczyła mnie moja Mama, w czasach gdy o polskim Lwowie w ogóle mówić nie było wolno. Wszak nawet jeżeli do wyznaczania naszej powojennej zaborczej granicy wschodniej przyjęto linię Curzona, to jej przebieg w wersji oryginalnej stanowił o przynależności Lwowa do Polski. Dopiero osobista interwencja satrapy Stalina, spowodowała, że miasto to znalazło się w granicach Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Gdy przed laty pierwszy raz byliśmy we Lwowie koniecznie chciałem trafić na grób mojego imiennika. Odnalazłem go z niemałymi kłopotami, gdyż pisownia jego nazwiska była dla mnie sporym zaskoczeniem. Ja znałem go jako Jurka Biczana, podczas gdy z tablicy na której upamiętniona jest ośmioosobowa grupa Obrońców Lwowa, wypisany jest Jurek Bitschan.

W tym miejscu pozwolę sobie na kolejną, bardzo osobistą dygresję, ale mającą już ścisły związek z wyprawą kwietniową. To co za chwilę napiszę, chciałem aby odpuściło mi przez ten prawie miesiąc od zakończenia naszej wyprawy. Tak się jednak nie dzieje i za chwilę wygłoszę pewną herezję. Wiem, że nie spotka się ona z zachwytem ewentualnych czytelników. Jednak teksty te piszę głównie „do szuflady” dla siebie samego, lub tylko dla bardzo elitarnego i naprawdę nielicznego grona przyjaciół. Cóż więc opatruje takim zawiłym wstępem?

Otóż symbolem miasta i rodzajem miejsca jego natychmiastowego rozpoznania jest Zamek w Lublinie. Obecnie znalazł w nim swoją siedzibę oddział Muzeum Narodowego, a całość ekspozycyjna tych pomieszczeń jest naprawdę bardzo ciekawa. Tyle tylko, że historia tego miejsca stanowi, że najrozmaitsi najeźdźcy, okupanci i samozwańczy władarze tego miejsca, uczynili z niego katorżnicze więzienie i miejsce kaźni tysięcy, dziś już głównie bezimiennych, ofiar. Dlatego zwiedzanie tego właśnie miejsca wydaje mi się rodzajem pewnej profanacji. Sam najchętniej widziałbym to miejsce jako kurhan pamięci, dla tych setek tysięcy ofiar, których ostatnim obrazem w ich konających oczach było niebo nad zamkiem w Lublinie. Na tym Kurhanie Pamięci pozostawiłbym tylko ową romańską kaplicę z malowidłami biblijnymi, zdobiącymi jej ściany dzięki fundacji Władysława Jagiełły.

A tak na marginesie, do dygresji. Zwiedzając tę właśnie kaplicę, doznałem pewnego deja vu, uzasadnionego historycznie. Malowidła co prawdą umieszczone są na ścianach, do którego raczej zbyt dużo światła z racji owego romańskiego stylu architektonicznego nie dochodzi. Nie mniej jednak ich rola była analogiczna do tych umieszczonych w dla mnie chyba najwspanialszym miejscu Paryża, jakim jest rozświetlona wspaniałymi witrażami kaplica Sainte Chapelle. Otóż wszystkie te ilustracje historii biblijnych były sposobem głoszenia Słowa Bożego wśród wiernych, którzy w swej lwiej części byli analfabetami. Dodatkowo rozmiar takich przedstawień plastycznych, ich ociekanie złotem i kolorami, budził zachwyt i doznanie swej mialkości wobec dogmatów wiary. Nikomu nie miała prawa przychodzić do głowy jakakolwiek kontestacja prawd objawionych.

Ja jednak, profan dziki i niepiśmienny, po drodze w owo naprawdę urocze miejsce, dostrzegłem kątem oka wystawę malarstwa Tamary Łempickiej i bardzo kusiło mnie jej pobieżne choćby zwiedzenie. Niestety, był to dodatkowy koszt, co samo w sobie nie było problemem, ale kasa znajdowała się dość daleko, bo przy samym wejściu do budynku. Wobec takiej przeciwności losu, postanowiłem zrealizować inne szaleństwo, które co prawda też było dodatkowo płatne, ale w automacie na miejscu. Fakt ten pozwolił mi wejść na wieżę zamkową. Po drodze bardzo starałem się nie dostrzegać ekspozycji ilustrującej czego dokonywano w tym właśnie miejscu. Z pewną niedużą zadyszką dotarłem biegusiem na szczyt i udało mi się zrobić nawet dość sensowne ujęcie filmowe, całości panoramy Lublina. Spieszyłem się przeogromnie, bo zdawałem sobie sprawę, że grupa za chwilę powróci ze zwiedzania kaplicy, a ja nie chciałem być dla kogokolwiek, jakimkolwiek problemem. Udało się i w miejscu zbiórki przy autokarze, byłem nawet minimalnie przed pozostałymi.

Przy okazji od fachowego globtrotera jakim jest Andrzej, dowiedziałem się, że po przeciwległej w stosunku do Starówki, stronie panoramy, którą ja identyfikowałem jako rozległą łąkę, znajduje się tak właśnie ekologicznie urządzonej jakiejś wielkiej galerii handlowej, na który można wejść, wypożyczyć leżaczek i przyjemnie spędzić czas na łonie, prawie, natury.

Nas czekał spacer po Starówce. Czekaliśmy na to z Danusią bardzo, bo gdy byliśmy w Lublinie w roku 1987, na koloniach wówczas jako śpiewak Kaliskiego Chóru Chłopięco-Męskiego, chodziliśmy z przerażaniem po tych miejscach zawłaszczonych przez bardzo szemranych tubylców. Można było dostrzec piękno, ale ukryte dość głęboko pod warstwą całkowitej dewastacji. W międzyczasie słyszeliśmy o dokonujących się tu zmianach na lepsze. Koniecznie chcieliśmy zobaczyć to na własne oczy, bo już wówczas Lublin wydał nam się miastem niesłychanie pięknym, zatopionym w zieleni, rozległym i spokojnym.

Wrażenia jakie stały się naszym udziałem w piątek 24 kwietnia 2025 roku, potwierdziły przeważająca część tych dobrych sygnałów, choć jeszcze gdzieś tam widnieją ślady owego skansenu





niedbalstwa. Jak tłumaczyła nam to Pani Irenka, jest to czasem wynik złych inwestycji miasta, które np. sprzedało dwie sąsiadujące z sobą kamienice jakimś włoskim inwestorom, którzy zapewne okazali się jedynie przykrywką do mafijnych machlojek. W moim odczuciu problem jest ogólnopolski, bo tego typu przykładów niszczących zabytków, które w niejasnych okolicznościach trafiły w nieodpowiednie prywatne ręce jest bardzo dużo. Mnie cały czas będzie bardzo boleć to co się dzieje z precudnym obiektem w znajdującym się nieopodal Ostrowa Wielkopolskiego, Mojej Woli. Pałac onegdaj wykorzystywany jako obiekt szkolny Technikum Leśnictwa, posiada jako jeden z dwóch obiektów w Europie, elewację zewnętrzną stworzoną z kory dębu korkowego, sprowadzonego tu z Portugalii. Obecne koszty remontu tego obiektu przewyższają wartość ziemi na której jest on posadowiony, więc czekać można tylko na komunikat o przypadkowym zaproszeniu ognia. Oby nie!!! Zastanawiający jest jedynie brak klauzul zobowiązujących nabywcę murowanych zabytków do przeprowadzenia w danych obiektach prac renowacyjnych, w ściśle określonym czasie, którego niezasadnione przekroczenie spowodować może anulowanie transakcji kupna. Nic tak nie przemawia do świadomości jak bat ekonomiczny. W Lublinie tego typu rozwiązanie też miałby swoje zastosowanie. Cały ten akapit nie stanowi jednak poddania w wątpliwość, czy też jest on próbą niedostrzeżenia, jak wiele obiektów zabytkowych kwitnie obecnie dzięki prywatnym lub instytucjonalnym inwestorom. W takich przypadkach zasadne byłby nawet nagrody w postaci pewnych ulg podatkowych, dla tych wszystkich, którzy narodowe dobra materialne tak pieczołowicie kultywują.

Spacer toczyliśmy od przejścia Bramy Grodzkiej, udając się w kierunku Rynku. Po drodze nasza przewodniczka starała się roztać przed nami wizje ciekawostek wszelakich, mających związek z mijanymi miejscami. Prym wiodło uwielbienie dla postaci Aleksandra Głowackiego, szerzej znanego jako Bolesław Prus, który tutaj właśnie się urodził i wychował. Na odnawianej tu obok kamienicy, widnieje medalion upamiętniający pobyt w tym miejscu innego wielkiego pisarza, jakim bez wątpienia był niezwykle płodny literacko, Józef Ignacy Kraszewski. I tak od kamieniczki do kamieniczki, zwrócono naszą uwagę na pięknie odnowiony budynek znajdujący się po drugiej stronie placu.

Jak się okazało, kamienice tę kupił i perfekcyjnie w stosunku do zaleceń konserwatora zabytków odrestaurował Janusz Palikot. Gdy w kolejnym zdaniu, pani Irena poinformowała o jego wpłacie na rzecz miasta w kwocie 600 000, jeden z uczestników naszej wycieczki zaczął dość ostentacyjnie wyrażać swoją dezaprobatę dla tej postaci, wykrzykując, że wszyscy wiemy kim był ten pan. Ja jakoś do tych wszystkich się nie zaliczam i nie lubię aby jakiegokolwiek indywidua w moim imieniu ją wyrażały. Potrafię sam i bardzo sobie cenię ową swoją przypadłość. Nie mniej jednak żółte światelko ostrzegawcze we mnie nieśmiało się zajarzyło.

Nie wytrzymało długo, a światło przeszło w zdecydowanie czerwone. Tym razem było kolejne głośne utyskiwanie tego pana i słowa bezpodstawnej krytyki kierowane pod adresem naszej przemilej przewodniczki, która właśnie opowiadała historię związaną z fotografiami umieszczonymi w oknach opustoszałej kamienicy, w której znaleziono kolekcję naprawdę ciekawych zdjęć byłych właścicieli. Akcja ta, prowadzona z pewnym powodzeniem, zmierza do ustalenia, kim były osoby mieszkające właśnie w tym miejscu. Ta opowieść znowu sprowokowała naszego wycieczkowego malkontenta, który dość głośno, jak na swoje wyobrażenie, wyrażał niezadowolnienie z opóźniania dotarcia do Klasztoru Dominikanów.

Kto mnie zna, ten wie, że jestem niespotykane spokojnym człowiekiem, ale do czasu... W tym przypadku ów czas dobiegł końca. Podszedłem do delikwenta i w krótkich żołnierskich słowach, acz pozbawianych jakichkolwiek wulgaryzmów, wyjaśniłem panu,

że istnieją środki transportu publicznego, pozwalające mu w każdej chwili zakończyć swój udział w wycieczce i powrót do domu. Uczyniłem to na tyle zdecydowanym tonem, że chyba na Rynku nie było kogoś kto by nie usłyszał mojej krótkiej tyrady. Oczywiście miałem świadomość, że znowu porywam się społecznie na rzecz porządku publicznego. Wszak incydent w pijackim, któremu musiałem przerwać podróż z Gdyni do Sopotu z uwagi na jego wulgarne zachowanie w autobusie komunikacji miejskiej jeszcze nie przebrzmiał we mnie emocjami, jakie wywołał. W tym przypadku moja interwencja niestety też nie do końca okazała się skuteczna, ale na prawie trzy dni skutecznie utemperowała galopy osobnika, który pretendował do miana samca – alfa!!! No cóż, nie przy mnie. Dla mnie najważniejszym jest interes grupy i jeżeli rozpatruję podstawowe różnice między naszymi dotychczasowymi wyprawami, a tą lubelską, to dostrzegam ją właśnie w obowiązującej kulturze osobistej jej uczestników. Jestem rozpieszczony tym, że w naszym dotychczasowym towarzystwie tego typu sytuacje nie miały prawa się zdarzyć, a gdyby nawet coś takiego jednak miało się przytrafić, to skutecznie byłby spacyfikowane przez całą resztę uczestników wycieczki. Zdecydowanie nie nadaję się na żandarma porządku publicznego, ja chcę tylko w ciszy i przyjętym porządku, delektować się wspaniałościami jakie nam przygotowali organizatorzy wycieczki.

Dotarliśmy oczywiście do owego upragnionego przez co poniektórych klasztoru, gdzie na tle pełnowymiarowej fotokopii obrazu Jana Matejki zatytułowanego „Unia lubelska” p. Irenka poprowadziła dokładną wiwisekcję, przedstawiając nam każdą postać uwiecznioną na płótnie, a także informując, kto służył artyście jako model dla poszczególnej osoby. Najważniejszy oczywiście pozostaje krucyfiks ze śnieżnobiałą postacią ukrzyżowanego Chrystusa, którą trzyma w ręku król. Krzyż ten znajduje się w szklanej szkatule przed reprodukcją i oczywiście można snuć opowieść, że na ten właśnie krzyż przysięgał w roku 1569 Zygmunt II August, lub też tylko był on rekwizytem służącym Janowi Matejce za wzór. Oczywiście pierwsza wersja brzmi o wiele atrakcyjniej i przy niej pozostajmy.

Dalej spacer prowadził do katedry Lubelskiej, robiącej naprawdę imponujące wrażenie, choć z zewnątrz wkomponowanej w zabudowę kolejnego placu. Z miejscem tym wiążą się wydarzenia znane jako „Cud Lubelski” Otóż w lipcu 1949 roku wierni w lubelskiej katedrze zauważyli, że obraz Matki Bożej płacze. Informacja ta błyskawicznie obiegła miasto i przyciągnęła do Lublina tłumy wiernych. Władze komunistyczne reagowały represjami, aresztując wiele osób. Po latach, bez próby jakiegokolwiek rozstrzygnięcia, można powiedzieć tylko tyle, że miejscowe duchowieństwo i wierni pielęgnują pamięć o wydarzeniach z lipca 1949 roku, a 26 czerwca 1988 roku obraz Matki Boskiej za zgodą Watykanu ukoronował kardynał Józef Glemp. Jednak do dziś cud ów nie został oficjalnie potwierdzony i zatwierdzony przez Watykan.

Następnie już dość zwawym krokiem, z racji zbliżającej się godziny posiłku, udaliśmy się głównym deptakiem lubelskim, czyli Krakowskim Przedmieściem w stronę Placu Litewskiego, gdzie mogliśmy dzięki zamontowanemu tam portalowi, być obecnymi również w Wilnie.

Z widocznym smutkiem musieliśmy sobie we czwórkę odmówić przyjemności posmakowania wiśnióweczki w mijanym właśnie lokalu firmowym tego trunku. Nieobznajomionym z tym wynalazkiem już tłumaczę o co chodzi. Otóż jest w kraju sieć takich lokali występujących pod szyldem „Pijana wiśnia”, znakomicie kolorystycznie i materialnie wykonanych, w których sprzedaje się wiśniówkę. Siedemnastoprocentowy trunek serwuje się w dość oryginalny sposób. Otóż przy barze nalewana jest kranikiem, owa przepyszna naleweczka, po sam brzeg 250 ml pucharku. Często stopnień na-





lania zwieńczony jest wręcz meniskiem wypukłym. Nie ma więc mowy o podniesieniu kielicha, należy go siorbnąć, a dopiero po tym sporym haŹście naprawdę znakomitego trunku, barman aplikuje do kielicha trzy do pięciu wiśni. Teraz dopiero można odejść w kierunku stolika, przy którym należy jedynie stanąć i miło konwersować.

Przyszła pora na spacer końcowy, urozmaicony opowiadaniem choćby o psiej górze, a następnie przejazd przez cały niemal Lublin, aby dotrzeć do naszej bazy lokalowej. Mieściła się ona tuż za tablicą informującą o końcu, lub początku, jak kto woli obszaru administracyjnego Lublina. Dom Spotkań Caritasu, mieści się w doskonale wkomponowanym nowoczesnym obiekcie, organicznie połączony z pozostałościami ruin Pałacu rodu Firlejów.

Obiadokolacja bardzo pozytywnie wszystkich nas zaskoczyła. Jedzenie bez wydzielania. Zupa w wazach i to wymiennie napełnianych. Drugie danie, co i ile sobie kto życzy. Po pierwszym nasyceniu, okazało się, że można sobie spokojnie na talerze aplikować wszelkie dokładki, łącznie z porcjami smacznego mięsniwa, serwowanego w dwóch czy trzech smakach. Do tego deser. Smaku ciemnego ciasta piernikowego z drugiego dnia naszego pobytu raczej nie zapomnę z ogromnej wdzieczności za jego przepyszny aromat. Takie dobre było. O barankach z białej czekolady, nie wspomnę, bo to akurat nie był to przysmak z mojej bajki.

Pokoje duŹe, przestronne, choć oczywiście, dość ascetycznie wyposażone, ale przecież przyjeżdŹając na wycieczkę krajoznawczą, nie nastawiasz się na oglądanie telewizji. Podobno za niedogodność niektórzy przypisywali sobie konieczność ubierania pościeli w czyściutkie poszewki. Łazienka z prysznicem i naprawdę duŹą umywalką. Wszystko sterylnie czyste, wyłożone płytkami ceramicznymi, pozwalającymi łatwo utrzymać czystość na tyle, aby po trzech nocach oddać pokój bez wyraźnego śladu użytkowania.

Jedynym dość wyraźnym ograniczeniem było zamykanie obiektu równo o godzinie 22.00. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dyscyplina tego typu wymusiła co prawda rezygnację z jakichkolwiek prób dostania się do centrum miasta, na atrakcję typu „Lublin by Nigh”, ale swobodnie mogliśmy udać się na trzykilometrowy spacer w stronę owego drogowiskazu wyznaczającego początek Lublina, aby dotrzeć do mieszczącego się tuż przy nim sklepu „Stokrotki”. Sieć sklepów Stokrotki jest w tej okolicy bardzo rozwinięta i dysponuje naprawdę duŹymi obiektami handlowymi, wypełnionymi po brzegi atrakcyjnymi towarami. Nasze zapotrzebowanie ograniczało się jedynie do wiśnióweczki, a ta oznaczona marką „Lubelska – Wiśniówka” okazała się strzałem w dziesiątkę. Posileni, wyhasani zwiedzaniem i spacerem po kolacyjnym, juŹ parę minut po 22.00 byliśmy słodko oddani w objęcia Morfeusza.



DZIEŃ DRUGI

Piątek, 25 kwietnia 2025

Sobotnie śniadanie upewniło nas, że lepiej z bazą lokalową i żywieniową trafić nie mogliśmy. Tym razem zacząłem wręcz przeliczać potrawy jakie wylądowały na naszych stołach śniadaniowych i okazało się, że do wyboru mieliśmy ich aż dwanaście, czyli jak na tradycyjnej Wigilii. Wszystko świeżutkie, smaczone, każdego dnia coś na ciepło, coś na słodko, na pewno z serami, wędlinami i świeżymi warzywami. Picie w trzech różnych gatunkach, herbata, czynny ekspres kawowy i coś w rodzaju koktajlu mleczno-owocowego. Do tego pieczywa też w kilku gatunkach, a wszystko jednak świeże i chrupiące. Czyż można chcieć czegokolwiek więcej? Każdy mógł się najeść do syta i raczej nie słyszał było jakichkolwiek utyskiwań gdy niektórzy z nas zapobiegliwie przygotowywali sobie kanapkę na drogę. Będę chwalił to miejsce, bo naprawdę spełniało

ono wszelkie standardy jakie stawiam obiektowi hotelowemu w zakresie zapewniania mi warunków do regeneracji sił traconych podczas całodziennych wędrówek krajoznawczych.

Już wczoraj pani Irenka w sposób dość zdecydowany zakwestionowała obiegową opinię dotyczącą tzw. ściany wschodniej, czy Polski B. Miała zdecydowaną rację, bo krajobrazy mijanych miejscowości i to w prawie stukilometrowym promieniu od Lublina, przedstawiały obraz zasobnej i dobrze gospodarującej się krainy. Wszystkie obejścia duże, nowoczesne, czyste i zielone. Wokół pola obsiane dość różnorodnie, bo jest to zagłębienie nie tylko zbożowe, ale również zielone i warzywne. Spotkałem tu po raz pierwszy pola obsiane amarantusem. Jest to roślina zaliczana do niby zbóż. Dlaczego niby? Otóż dlatego, że nie jest trawą, a co dziwniejsze, rodzinnie bliżej jej do buraka. Nie mniej jednak jej owoce wykorzystywane są analogicznie jak pozostałe zboża. Całe połacie pól zajmują tutaj chmiel oraz warzywa i owoce takie jak agrest, maliny czy porzeczki. Doskonale gleby lessowe oraz sięgający tych terenów jezior czarnoziem, gwarantują znakomite plony, stąd dobrobyt okolicznych gospodarstw rolnych, staje się tutaj rzucającą się w oczy regułą. Bardzo przyjemnie obserwuje się te połacie pól obramowane nielicznymi terenami leśnymi. Naprawdę nasza gospodarna Wielkopolska, ma tutaj godnego siebie rywala. Jest to rywalizacja jak najbardziej budująca i konstruktywna.

Pogoda od rana przestała nas rozpieszczać wczorajszym słońcem. Tym razem parasolki poszły w ruch, bo z nieba co i rusz kąpiło dość nieprzyjemnym deszczem. Z nim właśnie dojechaliśmy do pierwszego przystanku na trasie naszej dzisiejszej peregrynacji. Było nim Muzeum Zamoyskich w Kozłowie. Miejsce nam dość bliskie, poprzez postać wieloletniego dyrektora tej placówki, Krzysztofa Kornackiego, pochodzącego z Kalisza, absolwenta Liceum im. Adama Asnyka. Ten wybitny polski konserwator, muzeolog i kustosz, jest autorem polskiego rekordu w zakresie stażu prowadzenia muzeum. Kierował nim w latach 1979 – 2024 czyli nieprzerwanie przez 45 lat. Z bardzo dużym szacunkiem jego nazwisko wymawiane jest tutaj po dziś dzień.

My wchodzimy na teren parkowy otaczający budynek pałacowy i po raz pierwszy stykamy się z herbem Zamoyskich, „Jelita” przedstawiającym trzy włócznie ozdobione zawołaniem „To mnie boli” Legenda związana z tymi symbolami stanowi, że Ród Zamoyskich wywodzi swoje początki od Florianiana Szarego, legendarnego uczestnika bitwy pod Płowcami w 1331 r. Rycerz ten, ranny trzema włóczniami podczas walki, zauważony został przez króla Władysława Łokietka, oglądającego pobojuwisko. Król zapytał rycerza, czy bardzo bołą go rany powodujące, iż ranny podtrzymywał wypływające jelita. Bohaterski rycerz odpowiedział, iż mniej one bołą, niż zły sąsiad, na co król obdarował go nadaniem ziemskim i herbem Jelita z zawołaniem rodowym 'To mnie boli'. W rzeczywistości herb ten pojawił się faktycznie w II ćwierci XIV w. Natomiast zawołanie rodowe zostało dodane znacznie później.

Witają nas pokrzykiwania pawi przechadzających się po parku i odgłosy pracujących maszyn ziemnych, prowadzących kolejne prace porządkowe. Mimo punktualnego pojawienia się naszej grupy na miejscu, musimy uzbroić się w nieco cierpliwość i dokonać podziału na dwie, dwudziestoosobowe podgrupy. Do tego momentu wszystko wydawało się być w absolutnym porządku. Także pani, która najprawdopodobniej w nagłym zastępstwie podjęła się oprowadzenia turystów z Kalisza, też wykazywała się dość rozległą wiedzą fachową. Tyle tylko, że wszystko odbywało się w dokuczliwym pośpiechu. Grupy nieomal nachodziły jedna na drugą, co powodowało, że czasu na podziwianie autentycznych precjozów i cudniek rozmaitych, było tyle co kot napłakał. Jedna pani prowadziła grupę dopilnowując chodzenia po czerwonym dywanie, z uwagi na ochronę naprawdę cennych podłóg, natomiast druga kontrolująca sytu-





ację z tyłu, czuwała nad możliwością jak najszybszego zamknięcia drzwi do opuszczanego pomieszczenia, tak aby mogła do niego wejść kolejna porcja zwędzających płacących po 40 zł od głowy.

Wnętrza muzealne naprawdę wypełnione są cennymi zabytkami i widzi się doskonale różnice w zasobności wyposażenia w stosunku do obiektów znajdujących się po lewym brzegu Wisły. Nie mam tu na myśli takich ekstremalnie wyniszczonych obiektów jak zamki Moszna, Czocho czy Marianny Orańskiej w Kamieńcu Żąbkowickim. Myślę to choćby o tak bardzo mi bliskim Gołuchowie. Natomiast historia z Kozłówką obeszła się bardzo łaskawie i naprawdę można się rozkoszować zgromadzonymi tutaj zbiorami, gdyby tylko tempo zwiedzania na to pozawałało. Tymczasem my doświadczaliśmy totalnej komercji, byle szybciej, byle więcej, byle kasa pracowała na pełnych obrotach.

Przykre to doświadczenie, tym bardziej, że na trasie drugiego dnia naszej wycieczki znajdowały się Synagogi we Włodawie. Miasto to znane jest mojemu pokoleniu z codziennych komunikatów radiowych o stanie wód głównych rzek polskich w dniu dzisiejszym. „Na Bugu we Włodawie, stan rzeki wynosił 176 cm, w ciągu ostatniej doby ubyło dwa”.

Jeżeli coś natknęło mnie po raz kolejny do spisywania swoich podróżniczych refleksji, to właśnie wizyta w Muzeum – Zespole Synagogałnym we Włodawie, a konkretniej coś co zaprezentowała sobie i nam wszystkim przewodniczka po Synagogach, tak pięknie zachowanych i odrestaurowanych. Jeżeli coś w życiu szanuję, cenię i podziwiam, to pasję! Wydaje mi się, że potrafię ją dostrzec i docenić u każdego, niezależnie czym się dana osoba zajmuje. Tutaj wyszła do nas przewodniczka i po kilku słowach grzecznego wstępu, wiedziałem z całkowitą pewnością, że czeka nas Wydarzenie i to nieprzypadkowo pisane przez wielkie W. Pani Agnieszka Jaroszyńska nie stawiała się na piedestale jako ta co wszystko wie najlepiej. Pani się nigdzie nie spieszyło. Ona bawiła się tą pracą i autentycznie cieszyła z naszej obecności. Sama prowokowała dodatkowe pytania, tak aby móc być z nami wszystkimi jak najdłużej rozmawiając i ucząc. Wszystko to czyniła z tak niesamowitym wdziękiem, zachowując niezbędny umiar, aby przypadkiem nie kierować się w stronę schlebiana za wszelką cenę gawiedzi turystycznej. Jestem głęboko przekonany, że gdyby Pani tej powierzyć funkcje przewodniczki po opustoszałej stodole, przez którą przewały się wichry i zawierucha, to też potrafiłaby bez najmniejszego problemu stworzyć show powodujące, że każdy wychodzący porównywałby swoje odczucia, do tych jakie mogą mieć turyści opuszczający Luwr.

Wielkie podziękowania dla Pani Agnieszki. W synagodze jest prezentowany medal przyznawany przez Instytut Yad Waszem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”- tak sobie pomyślałem, że współczesne władze Izraela powinny docenić zarówno całą placówkę muzealną jak i personalnie tę właśnie Przewodniczkę, która do kultury żydowskiej przekonuje dziennie tylu ludzi, ile razem wzięte uznane Instytucje kultury wykształcają w przeciągu miesiąca i to też przy sprzyjających wiatrach.

Ekspozycja wystaw stałych jest wykonana w sposób niezwykle przemyślany i wyrafinowany plastycznie. Nie wiem czym zachwycić się bardziej, czy Bimą, czy Ołtarzem. Dla mnie taką perełką pozostanie szal modlitewny (Tałas) zawieszony w powietrzu. Jest symbolem tych wszystkich, którzy mogli okrywać się nim do modlitwy, a teraz po nich zaledwie drga powietrze.

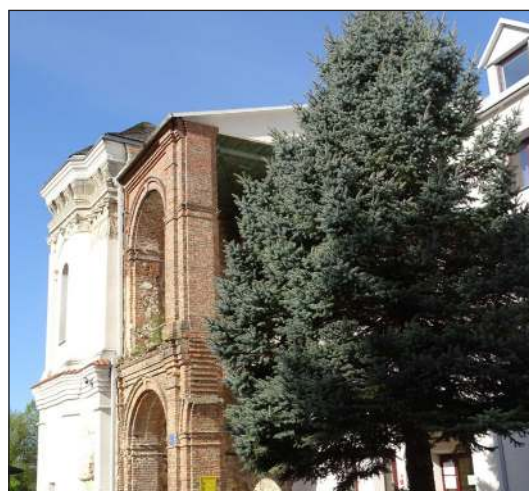
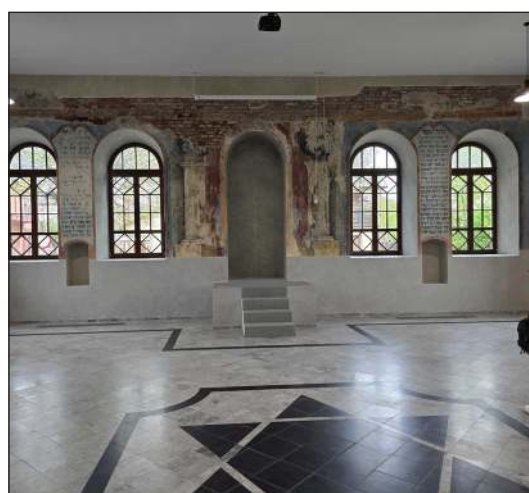
Na zakończenie tego spontanicznego peanu pochwalnego, coś co nie da się racjonalnie wymierzyć i ocenić. Ale tak jak z Kozłówki wyszedłem z wrażeniem głupawego dawcy czterdziestu złotych, tak we Włodawie opuszczałem ów Zespół Synagogałny z poczuciem kogoś ważnego i cennego dla tego właśnie miejsca. Rzeźba kapłanów, trzech różnych wyznań, też mówi wiele i stanowi do-

skołałe przesłanie dla odwiedzających to miejsce. Kiedyś tu z całą pewnością wrócimy!

Trzeba jednak było powrócić do rzeczywistości i postarać się o zakup jednorazowej maszynki do golenia, bo tym razem zabierając z sobą insulinę, pozostawioną w domu przy wyprawie w Łódzkę, zapomniałem o maszynce do golenia. Pędzelek, mydło, woda po goleniu, oczywiście znalazły się w kosmetyczce, ale taki szczegół jak maszynka Gillette, spokojnie czekała w mojej domowej szafce z kosmetykami. Bez problemu wskazano mi miejsce, w którym mogłem dokonać tego pilnego dla mnie zakupu. Niesiony tym fartem, chciałem jeszcze zakupić napój integracyjny marki Lubelska Wiśniówka. Niestety dotarcie do właściwego sklepu okazało się być ciut skomplikowane. Zdesperowany zaczęłem więc pewnego młodego człowieka, który właśnie zamykał bliżej mi nieznanego sklep noszący nazwę „Złota pszczoła”. No cóż, dla mnie starego cukrzyka, miód nie jest towarem pierwszej potrzeby.

Tymczasem okazało się, że lepiej trafić nie mogłem. Pan natychmiast otworzył wcześniej zamykany sklep i zaprosił do środka całą naszą trójkę, bo Ela poszła swoją ścieżką i nomen-omen trafiła na wiśnióweczkę. Natomiast w naszych dłoniach wylądowały natychmiast takie ciut większe od naparstków kieliszeczki, do których zaczępiony przeze mnie młodzieniec wlewał nam do degustacji pięć różnych napitków. Wybór był dość trudny, a ja sam przypominałem sobie jeden z naszych pierwszych wyjazdów zagranicznych, w czasie którego trafiliśmy do sklepu monopolowego w San Marino i po kilku takich degustacjach zaczęło się cisnąć na usta pytanie – „Ile kosztuje cały ten sklep?” Tym razem w porę wyhamowaliśmy asortyment, zdecydowanie oświadczając, że dwa pierwsze trunki robią robotą i my je z wielką ochotą w liczbie co najmniej mnogiej po gatunku, pragniemy zakupić. Z „Hrabinią” bo taka nazwę nosiła pierwsza z naleweczek, nie było kłopotu, natomiast „Likier Trzech Kultur z kwiatów czarnego bzu i nutką dżinu” był akurat na wyczerpaniu tą właśnie butelką, z której byliśmy częstowani. Musieliśmy wyglądać na autentycznie zawiedzonych, skoro bez chwili zastanowienia, owa napoczęta butelka Trzech Kultur trafiła w nasze ręce jako souvenir wraz z życzeniami udanego zakończenia dnia.

O takowe nie było trudno, gdyż wracaliśmy do naszej bazy, a tam już parowała znad waz wyśmienita zupa, o kolejnych pysznych daninach nie wspomniawszy. My zaś sprawnie i cichutko udaliśmy się do naszych pokoi, aby zgodnie z wypracowaną wieczór wcześniej tradycją, zintegrować się trunkami zakupionymi we Włodawie. Uczyniliśmy to z wielkim sukcesem. W przypadku moim i Andrzeja ów sukces był tym większy, że pozwolił nam nie słyszeć potwornego ponoć hałasu, który w granicach godziny drugiej w nocy, uczyniła włączająca się automatycznie zapowietrzona pompa ciepła, reagując w tak hałaśliwy sposób na spadającą niebezpiecznie temperaturę. Rano Mariusz próbował wszystkich nas za tę niedogodność serdecznie przeproszać, ale my dwaj z Andrzejem, nie za bardzo wiedzieliśmy, co też mogło nam w nocy przeszkodzić. Wstaliśmy jednak jak świeżo narodzeni, gotowi do trzeciego dnia intensywnego zwiedzania.



DZIEŃ TRZECI Sobota, 26 kwietnia 2025

Obudziliśmy się rześko w naprawdę chłodny, acz cudownie słoneczny poranek i po jak zwykle pysznym śniadanku, zasiedliśmy w naszym autokarze mając w perspektywie trzeciego dnia odwiedzenie Zamościa, Szczepieszyna i Roztoczańskiego Parku Narodowego. Zanim jednak przejdę do choćby krótkich zachwyty nad



urokami odwiedzanych miejsc, muszę wyartykułować swoje trzy, dość zasadnicze refleksje.

Pierwsza z nich dotyczy pewnego wyjaśnienia i uspokojenia organizatorów wyjazdu. Decydując się na ten wyjazd, wszyscy mieliśmy do dyspozycji dość szczegółowy rozkład jazdy i swoją wyobraźnię, pozwalającą przypuszczać, co też można będzie w tym tempie i przy tej intensywności, zobaczyć. Dlatego niechaj nikt nie pyta mnie czy zwiedziliśmy Lublin? Na pewno nie zwiedziliśmy, bo zaledwie popołudniowy spacer i kilkakrotny przejazd autokarem, po tym naprawdę rozległym i pięknym mieście, nie stanowił poznania więcej aniżeli 5% tego, co Lublin ma do zaoferowania odwiedzającym go turystom. Już nie wspomnę o żywym Muzeum Wsi Lubelskiej, ale jadąc w kierunku Zamościa, przejeżdżaliśmy w Lublinie naprawdę wspaniały obiekt jakim jest nowy dworzec autobusowy w tym mieście. Dworzec, który podobnie jak gmach Filharmonii Pomorskiej w Szczecinie, ma prawo stać się jedną z najelegantszych, nowoczesnych wizytówek tego miasta. Dlatego schlebając swojemu coraz bardziej odczuwalnemu zamiłowaniu do architektury, pozwolę sobie teraz na opis tego obiektu, którego minięcie zajęło nam autokarowo coś koło 10 sekund.

Otóż Dworzec Autobusowy w Lublinie wraz z przebudową układu komunikacyjnego w jego rejonie, to najważniejszy element projektu Zintegrowane Centrum Komunikacyjne dla Lubelskiego Obszaru Funkcjonalnego, który jest współfinansowany ze środków tej brzydkiej Unii Europejskiej w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego na lata 2014-2020. Całkowita wartość projektu to prawie 340 mln zł, z czego blisko 194 mln zł stanowi dofinansowanie z okropnych wręcz funduszy europejskich.

Budynek Dworca Lublin ma już na koncie kilka nagród, wśród których jedną z najważniejszych jest Word Architecture Festival Award 2024. Prosta forma bryły odpowiada założeniom ekologicznym, a element wyróżniający stanowią efektowne słupy, które przez wielu kojarzone są z elementami architektonicznymi charakterystycznymi dla budownictwa obowiązującego w Singapurze, choć pierwotnie miały one nawiązywać do pnącza winorośli, jednego z symboli herbowych Lublina.

Dworzec Lublin to trzykondygnacyjny budynek o powierzchni użytkowej ok. 18 tys. m²

Miejsca postojowe pomieszczą 174 samochody. Parking uwzględnienia miejsca dla osób z niepełnosprawnościami oraz rodziców z dziećmi i przestrzeń do ładowania aut elektrycznych. Innowacyjnym rozwiązaniem jest, kolejny już po centrum handlowy umieszczonym obok Zamku, użytkowy dach w formie tarasu widokowego z przestrzeniami rekreacyjnymi i wypoczynkowym oraz traktami spacerowymi. Znajdą się tam stoliki i krzesła oraz hamaki. Z myślą o najmłodszych na części dachu powstał też plac zabaw, który składa się z systemowego parku linowego.

Wedle mnie jest to kolejna perełka, warta spokojnego zwiedzenia, lecz ono będzie wykonalne jedynie wówczas gdy zaplanujemy sobie co najmniej tygodniowy pobyt w samym Lublinie, zakładając z góry naprawdę dużą intensywność spacerów po atrakcjach oferowanych przez to miasto. Wspaniałą przewodniczkę oraz nie mniej atrakcyjną bazę noclegowo-żywnościową, już mamy poznaną.

Kolejna moja refleksja, będzie już w zdecydowanie innym, smutniejszym i poważniejszym nastroju. Muszę wszystkim oznajmić, że ja sam, świadomie uciekam od tematyki wojennej, ze szczególnym uwzględnieniem wszelakich okrucieństw, jakie one ze sobą niosą. Nie jest to wyraz mojego, broń Boże, lekceważenia tych zagadnień. Nic z tych rzeczy, wręcz przeciwnie. Chodzi w tym przypadku o moją wewnętrzną nadwrażliwość i niestety nadmiernie rozwinięty zmysł plastyczny pozwalający mi urzeczywistniać wszystkie te doznania, jakie musiały być udziałem maltretowanych i mordowa-

nych. Dlatego uciekam od tych doznań. Gdzież więc mój szacunek dla tych ofiar? – Ano, właśnie w tym, że staram się ich tragedią nie epatować. Wiem, że pamięć o ich ofercie winna istnieć i być przekazywana z pokolenia na pokolenie – ale czy na pewno? Zazwyczaj moi oburzeni oponenci wyciągają w tym miejscu argument pt. obowiązkowa pamięć pokoleń. Ja ripostuję prosto – historia uczy, że nigdy, nikogo, niczego nie nauczyła!!! Wciąż rodzą się różne pol-poty, hitlerki, staliny, putiny (pisownia jak najbardziej celowa), a machina mieląca mięso armatnie, działa ze swoją zimną precyzją i coraz większym rozmachem.

Nie znam patentu na zatrzymanie tego chocholego tańca, nawet obecnie gdy jego rytm coraz wyraźniej dobiega zza naszej wschodniej granicy. Smutne to, nie mniej jednak ja rozdziały mówiące o holokaście, krematoriach, masowych egzekucjach, obozach koncentracyjnych i innych miejscach zagłady, staram się z pełnym szacunkiem, ale jednak wypierać. Dlatego nigdy nie wejdę na teren żadnego obozu koncentracyjnego, a nawet tak pozytywny w swym wyrazie film jakim zapewne jest „Lista Schindlera” nigdy nie obejrzałem i nie mam zamiaru tego uczynić.

Jednak przyjeżdżając na Lubelszczyznę, miałem w pamięci takie miejsca jak Majdanek, Bełżec, Sobibór, wiedziałem o Dzieciach Zamojszczyzny jak i okropnościach dziejących się na Zamku w Lublinie. Dlatego proszę zrozumieć moje zadowolenie gdy całą dzielnicę, łącznie z terenem obozu na Majdanku, przejeżdżamy autokarem, nie zatrzymując ani na chwilę. Te właśnie odczucia powodowały moją niechęć i w efekcie odpuszczenie sobie zwiedzenia pierwszego miejsca turystycznego, jakim w Zamościu była Rotunda, miejsce pamięci ofiar II wojny światowej. Wolałem chwilę posiedzieć w porannym słończku, wokół hałaśliwie kumkających zab.

Tym sposobem wyczerpałem dygresje rozpoczynające trzeci dzień naszej wyprawy. Pora więc na zachwyty nad pięknem Zamościa. A naprawdę było co podziwiać, tym bardziej, że słończko coraz bardziej zdecydowanie wchodziło na błękit nieba, a my poprzez Bramę Szczepkowską, weszliśmy do wnętrza miasta otoczonego murami obronnymi. Przepraszam, jeszcze jedna krótka refleksja i pytanie retoryczne – czy spotkaliście państwo mury obronne wokół miast państw nastawionych na agresję? Proszę mi tylko nie mówić o murach Kremla, bo to rodzaj obrony przed narodem. Karykaturą tego były nie tak dawno barierki wokół naszego Sejmu, ale to już zupełnie inna bajka.

Wracam do Zamościa i odwiedzin w Katedrze, gdzie wysłuchaliśmy narracji o twórcy tego miejsca, Kanclerzu Wielkim Koronnym Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Janie Zamojskim, pełniącym tak na dobrą sprawę, rolę wicekróla za panowania Stefana Batorego, który jak wiemy, rządził dość udanie docierając aż pod Psków, ale słowa po polsku wymówić nie potrafił. Dziełem życia Jana Zamoyskiego było zbudowanie od podstaw miasta idealnego.

Po latach pozostawił On swojemu spadkobiercy 11 miast i ponad 200 wsi oraz jako dzierżawca dóbr królewskich 12 miast i 612 wsi. Jego roczny dochód szacowany był na 200 000 złotych. W 1580 założył miasto Zamość, a w 1589, w celu utrzymania pozycji rodu i zapobieżenia rozdrobnieniu majątku, utworzył Ordynację Zamojską, którą zarządzało po nim kolejno piętnastu ordynatów i która przetrwała do 1944 r. Zamoyski dbał o racjonalne wydawanie pieniędzy, oferował rzemieślnikom tanie kredyty, sprowadzał kupców, budował huty żelaza i szkła oraz cegielnie. W 1595 r. ufundował Akademię Zamojską. Posiadał własne wojsko, w skład którego wchodziło 4000 piechoty (głównie piechoty węgierskiej) oraz 2000 jazdy.

My przez moment mogliśmy zajrzeć do kaplicy nagrobnej Zamoyskich w katedrze pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego i św. Tomasza Apostoła. Sam Jan Zamoyski nie lubił ostentacyj-





nej pobożności, czemu dał wyraz zalecając, by na jego nagrobku nie było żadnych symboli religijnych. Natomiast Tomasz Ordynat Zamoyski ma w niej piękny nagrobek z marmurową rzeźbą przedstawiającą go na łożu śmierci, któremu ukazuje się jego przedwcześnie zmarła córka, wskazując niebo, jako miejsce ich przyszłego i wiecznego spotkania.

Następnie nacieszyć się możemy wspaniałymi kamieniczkami, a przy okazji przystanku przy figurce krasnala Biatarygi, wysłuchujemy ploteczek o spadku testamentowym po Witoldzie Peszcie, wokaliście współtworzącym kwartet Vox, który był posiadaczem jednego z tych architektonicznych cudeniek.

Jeżeli nie dość dobitnie zaznaczyłem dotychczas życzenie powrotu w te strony, to w chwili gdy ujrzelśmy w remoncie i zasłonięte budowlanymi foliami 2/3 schodów prowadzących do Ratusza, pragnienie to stało się prawie koniecznością. Mieliśmy zwykłego pecha, bo widząc zdjęcia innych szczęśliwców odwiedzających to miejsce dosłownie wczoraj, widzimy już stan po udanym remoncie. Nam niestety pozostały do dyspozycji jedynie schody po lewej stronie (patrzac na wieżę ratuszową) i kolejna sesja fotograficzna dokonująca zdjęcia zbiorowego całej naszej grupy za pomocą dronu, sterowanego przez Mariusza.

W tym miejscu mieliśmy całe 25 minut tzw. czasu wolnego, który skwapliwie wykorzystaliśmy zasiadając przy stoliku Ristaurante Verona, aby podziwiając panoramę całego rynku, posilić się przepyszną szarlotką na ciepło i wzmocnić nadwątłone siły odrobiną aromatycznej kawy.

Rozkład dnia nie pozwalał na zbyt wiele relaksu. Za chwilę z dużym żalem żegnamy Zamość, ruszając w kierunku oczekującego nas autokaru. Wsiadamy do niego i jedziemy w stronę Rezerwatu Przyrody NAD TANWIĄ. Jesteśmy więc na skraju Puszczy Solskiej i Roztoczańskiego Parku Narodowego. Chyba dobrze trafiliśmy z godziną dotarcia w tę okolice, bo nie napotykamy tutaj zbytniego tłoku, a cisza i majestat otaczającej nas przyrody, jakoś tak same z sobie wymuszają specyficzny rodzaj wyciszenia. Schodzimy kilkoma schodami na lewy brzeg płynącej w tym miejscu Tanwi i napawając się obudzoną do wiosennej aktywności florą, idziemy spacerkiem podziwiając precudne widoki. Jedno jest tylko dla mnie zaskakujące i dzieląc się tą uwagą na gorąco z naszą czwórką (wszak Maciuś do niej się też zalicza) znajduję potwierdzenie tego kuriozum. Otóż zaciekawia mnie sterylna wręcz nieobecność jakichkolwiek form życia zwierzęcego, które należałoby się spodziewać w tym miejscu. Może wszelkie muszki, komary, żaby i inne pełzające, pływające i latające stworzenia, miały w tym czasie przerwę obiadową, ale naprawdę słuchać było jedynie szum kaskadowo po pniach przewróconych drzew, spływającej rzeczki. Żywego ducha! Stąd tablica jaką spotkaliśmy po drodze, dla mnie samego brzmiała jak ironia, a jej treść stanowiła co następuje: „

- Rzeka Tanew – odcinek specjalny - No kill –
- od mostu w Rebizantach do ujścia rzeki Jelonek 2900 m
- Kraina wód pstrąga i lipienia
- zakaz połowu z lewej strony rzeki (rezerwat)
- zakaz spinningowania w okresie od 30.09 do 31.01
- połów ryb odbywa się przy użyciu przynęt sztucznych z haczykami bez zadziórów
- na odcinku specjalnym obowiązuje całkowity zakaz posiadania i przechowywania ryb złowionych na innych łowiskach (dotyczy również samochodów)
- obowiązuje całkowity zakaz zabierania złowionych ryb

Całe szczęście, że ja jako akwarysta z półwiecznym stażem, nigdy żadnym połowem ryb się nie pasjonowałem i zupełnie nie rozumiem zasad tej szlachetnej ponoć dyscypliny. No cóż wobec przedstawienia mi przez potencjalnego prezydenta RP kibolowskich ustawek, jako szlachetnej, męskiej sztuki samodoskonalenia, ja już niewie-

le pojmuję. Ot, taka moja przypadłość, w której chamstwo jest dla mnie chamstwem, a łobuz łobuzem i niczym więcej.

Trudno się było w tym urokliwym miejscu spodziewać jakiś dodatkowych atrakcji. Za coś na wzór takiego właśnie punktu wyprawy pracowało Źródło Miłości, do którego dopracowano takie oto dwie mini legendy:

1. Jeżeli chłopak z dziewczyna w słoneczny poranek, lub w księżycową wiosenną noc, napiją się wody ze źródła, to zakochają się w sobie wzajemnie, a ich miłość będzie trwała do końca życia.

2. Wypicie wody z tego źródła gwarantuje spełnienie marzeń

Źródło jako takie jest samoczynnym naturalnym wypływem wód podziemnych na powierzchnię, charakteryzującym się stałą temperaturą w ciągu roku wynoszącą 8o do 9o a podczas naszej przy nim obecności niezbyt eleganckim widokiem, odstrasającym od schylenia się ku niemu.

Kierujemy się już w drogę powrotną do naszych Dąbrowic. Wcześniej czeka nas jeszcze wizyta na cichutkim ryneczku miasteczka Szczepieszyn, rozślawionego wierszem Jana Brzechwy. Pierwsze słowa owego łamańca językowego znają chyba wszyscy, a brzmią one: „W Szczepieszynie chrząszcz brzmi w trzcinie i Szczepieszyn z tego słynie”. Tyle tylko, że mało kto wie, iż do tego wiersza pełne prawa ma również Pszczyna na Śląsku Cieszyńskim, gdyż ostatni akapit informuje ni mniej ni więcej „Lecz nie zastał chrząszcza w trzcinie, bo chrząszcz właśnie brzęczał w Pszczynie”. Zasada zapamiętywania pierwszych zwrotek ma jednak swoje wielorakie przełożenie, z tekstami kolęd na czele.

Wykorzystanie turystyczne tego miejsca przy powszechnej znajomości tekstu wiersza jest jednak dość nikłe. Ogranicza się ono zaledwie do trzech owadów odlanych z brązu, rozmieszczonych wokół ławeczki, z których to postać stojąca i grająca na skrzypkach, pełni rolę tytułowego chrząszcza. Póki co nie widać zbytnio pomysłu na bardziej efektywne wykorzystanie tego dziecięcego motywu, a szkoda.

My wracamy do naszej kwatery i kolejny już posiłek dobitnie świadczy, że mamy ogromne szczęście mogąc w tym miejscu biesiadować i wypoczywać.



DZIEŃ CZWARTY

Niedziela, 27 kwietnia 2025

Wcześniej o tym nie wspominałem, ale teraz ta uwaga znajduje swoje najpełniejsze odzwierciedlenie. Otóż nasi kaliscy przewodnicy bardzo troskliwie i precyzyjnie zajmowali się wszelkimi problemami jakie mogą wynikać przy okazji organizacji tego typu wypraw. Zawsze mieliśmy rzeczowe komunikaty dostosowujące nas do wymogów jakie stawiał program wycieczki. Za to wielka im chwała i serdeczne podziękowanie.

W niedzielny poranek mieliśmy dodatkowe zajęcie związane z opuszczeniem pokoi. Należało nie tylko zadbać o zładowanie bagaży do luków naszego autokaru, przy jakże potrzebnej pomocy pana kierowcy (Dziękuję). O precyzji manewrowania ciut przydługim sprzętem, mam tu na myśli autokar, nie wspomnę, acz budziła ona powszechny szacunek i uznanie.

Wracając do naszych obowiązków, należało także zdjąć poszewki z pościeli i zdać je w recepcji ośrodka. Wszystkie te czynności należało wykonać w precyzyjnie określonym czasie, tak aby pozostałe do zrealizowania dzisiejsze punkty naszej wyprawy, były możliwe do wykonania. Dodatkowo sytuację komplikowała sprawa obiadu, który zamówiony w drodze powrotnej, nie mógł być zjedzony w miejscu wcześniej umówionym, ze względu na grzecznie rzecz



ujmując „dolegliwości żołądkowe” zatrudnionego tam personelu kuchennego. Okoliczność ta miała oczywiście swoją dobrą stronę, bo skoro potrafiły same siebie tak załatwić, to może lepiej było nie być ich potencjalnymi ofiarami. Przepraszam – klientami.

Tyle tytułem wstępu, bo gdy już wszyscy, zgodnie z podanym nam precyzyjnie sugestiami, zajęliśmy miejsca w autokarze, gotowi do odjazdu, okazało się, że brak jest jednej osoby. Jak się nietrudno było domyśleć, osobą tą okazał się ów malkontent ze spaceru lubelskiego, który uznał, że najważniejszą dla niego czynnością w ten niedzielny poranek jest udział we mszy świętej i najspokojniej w świecie oddalił się do pobliskiej kaplicy, aby tam oddać się swym przyjemnościom, nie bacząc na interes całej grupy. Po sprowadzeniu go do autokaru przez naszych dwóch przewodników, owe indywiduum nie zdobyło się nawet na słowo przepraszam, będąc oburzonym, dlaczego dyskryminuje się go jako katolika. Panu temu nie przyszło do głowy, że decydując się na udział w wycieczce wiedział, że w jej programie nie ma udziału w żadnych uroczystościach kościelnych, bo wyprawa ta była wycieczką nie zaś pielgrzymką. Dodatkowo pikanterii sprawie dodaje fakt, że w Domu Spotkań „Caritas”, z którego wielkiej gościnności korzystaliśmy przez trzy doby, jest specjalna kaplica, w której wnętrzu każdy mógł się wymodlić do woli.

Zmiana tematu, bo nawet teraz po miesiącu wspominając nasz wyjazd, czuję zupełnie zbędne podenerwowanie. Wyjeżdżamy w stronę domu, ale mamy przed sobą bardzo ciekawy wachlarz czekających nas atrakcji. Pierwszym z nich jest Nałęczów. Jest to miasto historycznie położone w Małopolsce, ale obecnie administracyjnie przynależy do województwa lubelskiego. Liczy sobie niecałe cztery tysiące mieszkańców, ale liczba przebywających w nim ludzi jest co najmniej dwukrotnie wyższa, z uwagi na przebywających tu kurasjuszy i wczasowiczów.

Nałęczów to jedyne w Polsce uzdrowisko o profilu wyłącznie kardiologicznym. Leczy się tu przede wszystkim choroby; wieńcową, nadciśnienie, nerwice serca i stany ogólnego wyczerpania psychofizycznego. W powrocie do zdrowia pomaga mikroklimat sprzyjający naturalnemu obniżeniu się ciśnienia tętniczego krwi oraz zmniejszeniu dolegliwości serca. Nałęczów posiada również dobre warunki dla rehabilitacji pacjentów po zawale serca i operacjach kardiologicznych.

W centrum miasta znajduje się 25-hektarowy park Zdrojowy ze stawem i z historyczną zabudową, taką choćby jak pałac Małachowskich, czy sanatorium „Księżę Józef”.

Nasza przewodniczka wiedzie nas w stronę chaty Stefana Żeromskiego, snując barwną opowieść o jego miłości do Oktawii Radziwiłłowicz, jej rozkwicie, przekwitnięciu, w wyniku którego Stefan ucieknie stąd z młodszą Anną Zawadzką. To właśnie ten romans ojca stał się przyczyną kłótni, w wyniku której jego syn Adam przeleżał wycieńczony na bagnach Błoni krakowskich kilkanaście godzin. Epizod ten stać się mógł bezpośrednią przyczyną zachorowania młodzieńca na gruźlicę, co doprowadza do jego śmierci w roku 1918.

Obok Chaty Żeromskiego, znajdującej się na Górze Armatniej w Nałęczowie, z której na czas nie oddano salwy honorowej dla Cesarza Austro-Węgier, znajduje się mauzoleum, gdzie zropaczona matka, nie bez problemów natury administracyjnej, pochowała zwłoki syna.

Trasa naszej wyprawy niestety nie obejmowała Parku Zdrojowego założonego przez Stanisława Małachowskiego, nie mniej jednak mijane posiadłości, noszące wyraźne piętno architektury zakopiańskiej, dobitnie świadczą o związkach tego kurortu z Witkacym i innym znanymi postaciami, tak ściśle związanymi z Zakopanym. Na miejscowym cmentarzu znajduje się grób Ewy Szelburg-Zarembiny, tej chociażby od „A...a...a... były sobie kotki dwa.” Kto nie zna

tej kołysanki z roku 1925?

Nienawistny czas pogania nas wciąż dalej i dalej. Może i słusznie, bo za chwil kilka docieramy do Kazimierza Dolnego nad Wisłą. Dotarcie w to miejsce, samo w sobie załatwiłoby atrakcyjność całej naszej wyprawy. Miasteczko malowniczo położone na pofałdowanej skarpie nadwiślańskiej, z dominującymi nad nim ruinami zamku kazimierzowskiego, wygląda jakby żywcem przeniesione z epoki renesansu. Kamieniczki aż kipią kolorami i ornamentami. Nie dziwi więc fakt, że miejsce to od lat stało się Mekką artystów wszelakiej maści.

Wchodzimy do centrum Kazimierza przemierzając w pełnym słońcu piękny odcinek promenady nadwiślańskiej, która doprowadza nas do malowniczego centrum. Ja korzystam z okazji i proszę naszą Panią Irenkę o przypomnienie nazw atrakcji lubelskich, którymi wczoraj urozmaicała nasze peregrynację. Nazwy miejscowości tworzący ów trójkąt atrakcji turystycznych brzmią następująco – Nie liż Cyców Celiny w Krzywych Kątach na Zakręcie. Natomiast rzeki płynące w pobliżu Lublina nazywają się; Nędznica, Ciemięga i Łazęga

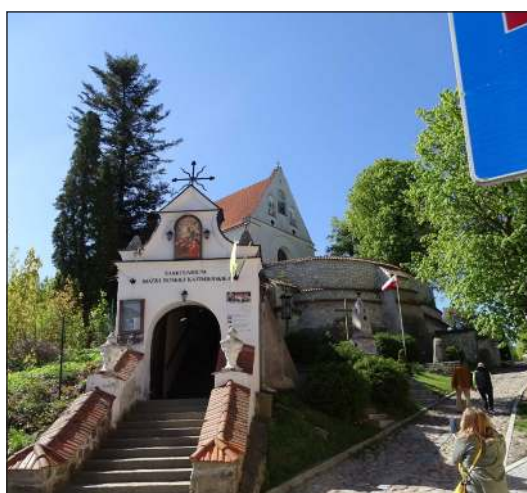
Na środku wybrukowanego „kocimi łbami”, a nie współczesną kostką brukową, Rynku znajdują się dwa obowiązkowe punkty rozpoznawcze tego miejsca. Pierwszym jest studnia kryta gontem, a drugim rzeźba psa Werniksa.

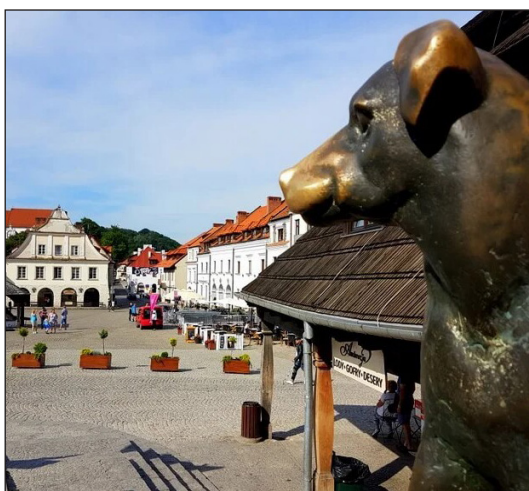
Pomnik Werniksa z brązu powstał w 2000 roku, jego autorem jest rzeźbiarz Bogdan Markowski i był to pierwszy posąg kundla w Polsce. Dziś prawie każdy odwiedzający Kazimierz Dolny robi sobie z kundelkiem zdjęcie, przy okazji pocierając go po nosie, lub nie tylko. Psiaki były obecne w Kazimierzu od dawien dawna. Często towarzyszyły one artystom, którzy chętnie je uwieczniali. Jednak to Werniks był psem wyjątkowym, który przewodził całej psiej zgrai. Był to pies niebywały, którego szczęśliwie przygarnął malarz Zbigniew Szczepanek. Obaj niestety opuścili na stałe Kazimierz Dolny, udając się do Gdańska. Jednak Werniks powrócił jeszcze na chwilę do Kazimierza, dzięki czemu mógł pozować Panu Bogdanowi. Posąg jest nieco większy od Werniksa, ale poza tym wszystko się zgadza. Dziś pies zerka w stronę Kawiarni Rynkowej, w której lubili przesiadywać artyści na porannej kawie.

Wokół Werniksa narosło sporo legend. Powiada się choćby, że pies pochodził z nieodległego Janowca, jednakże tak cenił sobie kazimierzowski Rynek, że aby dotrzeć do celu, łapał stopa, a kierowcy chętnie podwozili czworonoga. Według innych wersji, pies sam przepływał codziennie Wisłę z Janowca, aby towarzyszyć tułaczom.

Wymyślono też w Kazimierzu inną legendę, służącą dziś jako jeden z symboli rozpoznawczych tego miasteczka. Są nim koguty. Zgodnie z podaniem, nad Wietrzną Górą, w miejscu, gdzie płonęły ogniska oraz odprawiono pogańskie rytuały, przelatywał sam kosmaty diabeł. Tak mu się spodobało, że postanowił się tutaj osiedlić! Kazimierz rósł, a na wzgórzu powstał Klasztor Ojców Franciszkanów i diabeł musiał się eksmitować do zamkowej fosy. Jako, że czort posmakował w kogutach, tych zaczęło szybko ubywać z kazimierzowskich gospodarstw, do tego stopnia, że pewnego dnia ostał się ino jeden, ostatni kogut. Czuł co się święci, dlatego ukrył się w przyszykowanej uprzednio kryjówce. Diabeł nie mógł zlokalizować swojej ofiary, a w tym czasie franciszkanie skropili wodą święconą diabelską norę. I tak czort musiał wyprowadzić się z miasta, a ostatni kogut spacerował dumnie po kazimierzowskich uliczkach.

Aby upamiętnić te „najprawdziwsze” wydarzenia, mieszkańcy poczęli piec drożdżowe przysmaki nadając im kształt koguta. Kazimierski kogut to drożdżowo-maślany wypiek średnicy ok. 25 cm, wyrabiany ręcznie, uzyskiwany poprzez specjalne wyplatanie ciasta. Jego receptura jest pilnie strzeżona i stanowi prawdziwy skarb. Koguta cechuje wyjątkowy maślany smak, który uzyskiwany jest





dzięki najlepszym składnikom.

Już po drodze do Kazimierza dostrzeżliśmy z okien autokaru autentyczny Jajkomat. Nie mógł więc dziwić w Kazimierzu, Kogutomat. Ten autentyczny przysmak kupić można praktycznie na każdym otwartym tu kramie. Cieszy mnie taka sytuacja bardzo, bo dzięki owym kogutom, nie zaznałem tutaj możliwości zakupu pamiątkowej (?) gęsi czy też innych souvenirów Made in China.

Bez dwóch zdań, najpiękniejszymi budynkami w Kazimierzu Dolnym są Kamienice Przybyłów. Choć na mnie osobiście największe wrażenie zrobiła Kamienica Celejewska, może dlatego, że wokół niej nie było żadnych kramów. Budynek Kamienicy Celejewskiej powstał w XVI wieku w stylu manierystycznym z kamienia wapiennego, na zlecenie majątnego kupca, Bartłomieja Celeja. Nie dziwi nas fakt, że jej wysoka attyka wraz z rzeźbionymi maskarami jest uważana jest za najpiękniejszą w Polsce! Attyka charakteryzuje się wieloma detalami rzeźbiarskimi. Ponadto, kamienica nazywana jest również Kamienicą pod św. Bartłojem. Jak niektórzy mogą się domyślać, nazwa nawiązuje do figury patrona umieszczonej w prawej części attyki. Niestety, kamienica wraz z innymi zlokalizowanymi na Senatorskiej, spłonęła w roku 1915. Szczęśliwie odremontowana, mieści dziś oddział Muzeum Nadwiślańskiego.

Nam oczywiście nie wystarczyło czasu aby wejść na wzgórze Trzech Krzyży, dotrzeć do ruin zamku zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego. Tak na marginesie, te i cały szeregu innych ruin zawdzięczamy, jakoś tak dziwnie przemilczanej przez historyków, szarańczy szwedzkiej, ale to tylko taki szczegół. Jeżeli więc planujemy kolejne wyprawy na Lubelszczyznę, to jej program minimum zaczyna rozciągać się do miesiąca. Wspaniałego miesiąca, pełnego wrażeń, zachwyty i piękna.

Przebiegliśmy się zaledwie po krytych schodach wiodących do tutejszego klasztoru Franciszkanów, ale czasu na odwiedzenie kościoła z najstarszymi organami w Polsce, już niestety zabrakło, podobnie jak i na rejs po Wiśle. Tak można by długo wymieniać, bo nad promocją tego miejsca, stanowiącego perłę turystyczną, zdają się pracować naprawdę rozsądni ludzie.

My zaś jako członkowie Stowarzyszenia Miłośników Soku Malinowego, mieliśmy tutaj w Kazimierzu możliwość wzniesienia naszym firmowym napojem, czyli „wściekłymi psami” zdrowia i szczęśliwości tych członków i sympatyków naszej organizacji, którzy niestety nie mogli być tutaj z nami obecni. To się na pewno da nadrobić podczas kolejnych naszych wyjazdów i spotkań.

Tymczasem na nas czekały Puławy z Zespołem Pałacowo-Parkowym Księżąt Czartoryskich. Dla mnie miejsce to było szczególnie warte odwiedzenia, przez jego związek z Gołuchowem. Związek dwojakiego rodzaju. Pierwszy jest taki, że tutejszy pałac był własnością Izabeli z Flamingów Czartoryskiej, babci naszej Izabeli z Czartoryskich Działyńskiej, dzięki której mamy wspaniały Zamek w Gołuchowie. Po drugie, Adam Kubaszewski wykonawca założenia Parkowego w Gołuchowie oraz tutejszy nadgrodnik, posiłkował się na początku swej kariery zawodowej podręcznikiem autorstwa Izabeli Czartoryskiej z Puław, zatytułowanym „Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów”. Wtajemniczeni wiedzą, że już prawie od dwóch lat wcielam się w postać Adama Kubaszewskiego i pracowicie poszukuje wszelkich informacji na temat jego życia i dokonań. Aktywności te umożliwiły mi ostatnio, podczas niedawnej Nocy Muzeów, wygłosić prelekcję przybliżającą postać tego genialnego samouka oraz poprowadzić spacer dendrologiczny po Parku w Gołuchowie.

Pałac w Puławach, nie zrobił jednak na mnie tak wielkiego wrażenia, jakiego się spodziewałem. Jest to wynik patriotycznej postawy rodu Czartoryskich prezentowanego podczas Powstań Narodowych od Kościuszkowskiego, poprzez Listopadowe do Styczniowego i związanych z tym represji carskich. Losy powojenne też nie były

zbyt łaskawe dla tego obiektu, zajmowanego przez rozmaite instytucje publiczne, wykorzystujące tkankę lokalową, ale niedbające o jego kompleksową modernizację. Dopiero od dwudziestu kilku lat karta się nieco odmieniła, choć daleko jeszcze do tego by obiekt w całości trafił pod opiekuńcze skrzydła Muzeum Narodowego.

Póki co furorę wśród odwiedzających robią przechadzające się po dziedzińcach i wzlatające na gzymsy, pawie, a wśród nich albinoska gwiazda. Dokoła rozciąga się piękny park, który niestety odniósł niedawno spore straty w wyniku dramatycznych zawirowań klimatycznych. Jednak wszelkie obiekty znajdujące się w Parku takie jak; Domek Rzymski czy Świątynia Sybilli błyszcza już pełnym blaskiem, a spacer po niektórych ścieżkach wyznaczonych tuż obok stromej skarpy u podnóża której malowniczo płynie Wisła, robi niezapomniane wrażenie.

Ostatnim punktem programu, niemającym już oczywiście nic wspólnego ze zwiedzaniem, był obiad załatwiony po mistrzowski przez naszych przewodników. Obiad, smaczny, obfity, podany sprawnie, w schludnych warunkach estetycznych. Gdyby jednak przez moment zabrakło nam mocnych wrażeń, to Danusia, wzorem przygody na Piotrkowskiej, tutaj również znalazła huśtawkę, a wynik jej bytności na tej zabawce, był łatwy do przewidzenia. Na szczęście nic się nikomu nie stało, i wszyscy wokół mieliśmy powód do przyjaznego śmiechu. Może kiedyś poćwiczmy huśtanie się na takim ustroju, aby moja żona mogła błysnąć sprawnością fizyczną również w tym zakresie.

I nadszedł moment rozstania. Ela i Andrzej uzgodnili, że Ich Synowa podjedzie pod Teatr pojemniejszą wersją samochodu osobowego, dzięki czemu mogliśmy się wspólnie zapakować do wygodnej Škody, ale przede wszystkim poznać nad wyraz serdeczną, uśmiechniętą i kompetentną młodą osobę, która w mig zrozumiała i dostosowała się do naszego sposobu porozumiewania się. Wielkie dzięki i uznanie!!!

Co do przyszłości - Zbyt wysoko cenię sobie spokój abym kiedykolwiek zdecydował się za własne pieniądze skazywać się na kilkudniowe towarzystwo osoby nieprzestrzegających elementarnych norm społecznych, a będącej praktycznie poza jakąkolwiek jurysdykcją organizatorów.

